

się miłość. Czytelnik utworów Czechowa obcuje więc przede wszystkim z nieszczęściem.

Ale nie jest to jednak takie nieszczęście, które wywołuje dreszcz zgrozy. Nikt nie zostaje do głębi i umyślnie skrzywdzony. W zasadzie nic się na zewnątrz człowieka nie zmienia, choć przecież zmienia się cały świat, wszystko, co posiada jakiegokolwiek znaczenie.

Weźmy, na przykład, dramat „Trzy siostry” — najbardziej znaną sztukę sceniczną Czechowa: nie dzieją się w niej żadne porywające wydarzenia, nie ma fascynującej intrygi, a jednak każdy widź śledzi akcję tego utworu z napięciem. Oto wśród potocznej codzienności — rozmów, posiłków, odwiedzin, żarcików i flirtików — dostrzegamy, jak zmieniają się ludzie, jak się demaskują, jak przechodzą w nicosć ich marzenia i plany. To właśnie u Czechowa jest najbardziej tragiczne: obracanie się w niwecz życia przy zachowaniu pozorów jego sensu. Wszystko zostaje po staremu i potrwa tak przez długie jeszcze lata, ale będzie to trwanie niepotrzebne i bezcelowe. Ludzie, którzy się kochali i przyjaźnili, nie będą teraz mogli spojrzeć sobie w oczy, ponieważ odsłoniłi swą małość, brak charakteru i bezwstydną głupotę. Człowiek, zdaje się mówić Czechow, sprawdza się nie w wielkich zmaganiach z historią, lecz w małym, codziennym życiu. Łatwo być bohaterem na wojnie, gdyż wystarczy tam raz wykazać odwagę; normalne i spokojne życie wymaga tej odwagi codziennie, albowiem na co dzień trzeba żyć rozumnie, uczciwie i godnie.

Toteż twórczość Czechowa dotychczas nie straciła nic ze swojej siły sugestii, choć rozrywa się w scenerii sprzed kilkudziesięciu lat, a więc już prawie zapomnianej. Mówi bowiem o sprawach, które znamy i których doświadczamy w swym życiu, ponieważ większość z nas wie także życie monotonne, spokojne, bez większych uniesień i gwałtownych upadków.

Również o takim nieciekawym życiu opowiada „Wujaszek Wania”, dramat napisany w roku 1897. Jest to utwór mówiący o przemienianiu się uporządkowanego, rozumnego życia z sensem — w uporządkowane, ale bezrozumne życie bez sensu.

Wania, czyli tytułowy bohater dramatu, przez wiele lat gospodarował w niewielkim mająteczku, aby swojemu szwagrowi, profesorowi estetyki (czy historii sztuki) posyłać pieniądze na utrzymanie w mieście. Dla całej rodziny Wońskich profesor ów jawił się jako istota wyższego rzędu, pod każdym względem lepsza. Dlatego cała rodzina widziała sens swego życia w tym, aby się dlań poświęcać. Nikt, ani Iwan Pietrowicz Wońnicki, ani córka jego zmarłej siostry i profesora, Sonia Aleksandrowna, nie myśleli o życiu dla siebie, o realizowaniu swoich ambicji, planów i pasji. Zrezygnowali z nich, aby profesor mógł w dostatku i spokoju tworzyć swe wielkie, nieprzemijające dzieła.

Po przejściu na emeryturę profesor Aleksander Sieriebriakow zjeżdża do mająteczku, będącego nominalnie własnością Soni, aby osiaść w nim na stałe. Przybywa tu z nową, młodą i piękną żoną. Ale zamiast wielkiego, sław-

nego i prawnego człowieka — przyjeżdża stary, głupi i nadęty bubek, który ani o życiu, ani o sztuce nie ma nic rozsądnego do powiedzenia. Pryska mit „nadczołowieka”, którego wielkość miała być wystarczającą nagrodą za lata harówki i wyrzeczenia dla innych.

Kiedy Sieriebriakow demaskuje ostatecznie swą podłość i postanawia sprzedać majątek, nie troszcząc się o przyszłość swojej rodziny, Wania, doprowadzony do ostateczności, usiłuje go zastrzelić, ale dwukrotnie chybia celu, przez co kompromituje się i jako człowiek, który żył głupimi złudzeniami, i jako strzelec.

Akcja rozwija się na tle dwóch, skrzyżowanych z sobą, wątków miłosnych. Wania, dostatecznie podstarzały, aby oglądać się za młodzickimi kobietami, podkochuje się w pięknej żonie profesora, w której także zakochuje się Michał Astrow, lekarz, mieszkający trzydzieści wiorst dalej. Zakochuje się wszak bez wzajemności, co ma być karą za to, iż nie dostrzega miłości Soni. Wszyscy są więc nieszczęśliwi i nikt nie ma widoków na szczęście. Mogliby je osiągnąć, gdyby zdecydowali się na jakieś radykalne postanowienie, ale się nie decydują i wszystko się rozlaź, przemija i karleje.

Czechow napisał: „Nie co chwila ludzie strzelają się, wieszają, składają sobie nawzajem miłosne wyznania. Przeważnie jedzą, piją, włóczą się, plotą głupstwa. Trzeba to pokazać na scenie. Trzeba stworzyć dramat, w którym by ludzie wchodzili, wychodzili, jedli, mówili o pogodzie, grali w karty... Niech na scenie wszystko będzie równie proste i równie zawile jak w życiu. Tu ludzie jedzą, tylko jedzą, a tymczasem rozstrzyga się ich szczęście, rozbija ich życie”. Właśnie: rozstrzyga się samo. Nikt tu niczego nie planuje na serio, nikt nie podejmuje zasadniczych działań, nikt nie chce niczego zmieniać — a jednak zmienia się wszystko, ponieważ ludzie porzostają na gładzeniu i jedzeniu, pozwalając, by życie przechodziło im koła nosa. Ten specyficzny, Czechowski tragizm tak nas przejmuje dlatego, że odziera człowieka ze wszelkich złudzeń. Niby jesteśmy kowalami własnego losu, a jednak nie jesteśmy. Niby możemy żyć inaczej, żyć pożytecznie, a jednak nie możemy, ponieważ nie potrafimy. Nie kierujemy swoim losem — i nic w tym nie ma do śmiechu.

Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgielki w Białymstoku wystawił sztukę „Wujaszek Wania”, do czego posłużył utwór dramatyczny napisany przez Czechowa. Treść tego utworu przedstawiłem pokrótce, albowiem to, co zobaczyłem na scenie, nie bardzo pasowało mi do tego, co przeczytałem. Mimo że aktorzy bardzo wiernie wywołałi kwestie napisane przez Czechowa, „Wujaszek Wania” w ich wykonaniu odbiegał od dramatu napisanego, albowiem nic tu nie zostało z Czechowskiego klimatu rozkładu i tego smutku, którym przepełnione są jego utwory.

Tytułowy bohater, Wujaszek Wania (a już samo słowo „wujaszek” posiada w języku rosyjskim tak bogate znaczenie, że wychodzi ono daleko poza określenie pokrewieństwa), zamiast być dobrotliwym niezgłą, miota się po sce-

nie jak choleryk i czyni wiele hałasu, wykrzykując grubym głosem to, co powinno być powiedziane ciszej i w zamyszeniu. Zamiast być postacią śmieszną i przegraną z powodu własnej niezaradności, wychodzi na historycznego durnia, który nie potrafi w odpowiedni sposób powiedzieć kobiecie, że ją kocha. Jego strzały do profesora (które w intencji Czechowa miały być oznaką ostatecznej nieumiejętności załatwiania prostych spraw) są na deskach białostockiego Teatru wybrykiem szaleńca, który w ataku chwyta za rewolwer. Żona profesora, która powinna być dziwdzią z pretensjami, zaś od wewnątrz — kobietą pustą i głupią, okazuje się postacią skomplikowaną, mądrą i zdolną do uczuć. Sonia, która ma być jej przeciwieństwem, a więc kobietą brzydką, dobrą, uczuciową i mądrą, okazuje się po prostu młodą ładną dziewczyną, dlatego widź nie potrafi zrozumieć, dlaczego doktor Astrow nie zwraca na nią uwagi. Jedynie profesor, zagrany przez Stanisława Jaskrowskiego, odtworzony jest z należytą starannością. W jego grze widoczna jest nieustanna poza i sztuczność: swoje kwestie wypowiada on tonem referatu, ale w tym jednym przypadku tak być powinno.

Toteż każdy, kto dramat Czechowa uprzednio przeczytał, musi dojść do wniosku, że reżyser Józef Skwark źle dobrał i ustawił aktorów. Stąd też dwie najlepsze i najbardziej przekonujące na scenie postaci, Sonia i Astrow (Grażyna Bobrowicz i Cezary Sokołowski), także nie ustrzegły się referatowego wygłaszania swych kwestii, choć miejscami grają tak naturalnie i spontanicznie, jak to u Czechowa — moim zdaniem — powinno naprawdę wyglądać.

Również scenografia tego przedstawienia, zaprojektowana przez Annę Rachel, odbiega znacznie od wskazówek autora dramatu. Czechow przykazał, aby każdy akt rozgrywał się w innej oprawie. Na scenie widzimy jednak ciągle ten sam pokój, co wzmacnia teatralną umowność spektaklu. Dlatego podnoszę tę drobną, na pozór, sprawę, bo jest ona w tym przypadku znamieną. Czechow akcentował zawsze, że pomiędzy sztuką a życiem powinno zachodzić ludzkie podobieństwo. Widz ciekaw jest więc, czy reżyser, który godzi się na odstępstwo od oryginału, czyni to z konieczności technicznej, czy też dlatego, że nie przywiązuje do niej wagi, a więc nie bardzo wie, co Czechow chciał w swym dramacie przekazać.

Na scenie białostockiego Teatru Dramatycznego niewiele zobaczyliśmy prawdziwego życia i prawdziwych ludzkich namietności. Usłyszeliśmy natomiast kilkadziesiąt kwestii wyłoszonych z niewyraźną intencją, która niewiele miała wspólnego z Czechowem i jego mądrą zadumą nad ułomnościami człowieka.

Andrzej W. Pawluczuk

Anton Czechow: „Wujaszek Wania”. Przekład Artura Sandauera. Reżyseria — Józef Skwark, scenografia — Anna Maria Rachel, muzyka — Jadwiga Tyska. Premiera: 9 XI 1979 r. na scenie Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgielki w Białymstoku.

## WYGLĄSZANIE CZECHOWA

ANDRZEJ W.  
PAWLUCZUK

„Wujaszek Wania” opatrzony został podtytułem „Sceny z życia na wsi”, autor nie uważał więc tego dramatu za komedię. Jest to utwór smutny, a jeśli pojawiają się w nim elementy wesołości, nie jest to komizm wywołujący huragany śmiechu. Niektórzy nazywają ten typ humoru uśmiechem przez ży. Śmiejemy się, ale w gruncie rzeczy nie jest nam do śmiechu, ponieważ na naszych oczach marnuje się jakieś życie, zaprzepaszczają się szanse i ambicje, ginie czyjaś nadzieja, nie spełnia